

Wiesław Juszczak

Lekcja pisania [TEKST]

Tekst został wygłoszony w warszawskiej siedzibie PEN Clubu z okazji wręczenia nagrody im. Pruszyńskich. Historyk sztuki prof. Wiesław Juszczak otrzymał ją w 2010 roku.

Zastanawiałem się nad tym, jak podziękować za to, co zostało mi dane. Nagroda – pierwsza w życiu – jaką dziś otrzymuję, kryje w sobie coś, co jest dla mnie szczególnie ważne: pewne potwierdzenie sensu tego, co robię. I przyszło mi na myśl, że ktoś dawno temu postawił mnie na drodze, którą zacząłem przemierzać nie zastanawiając się już po co. Wobec raz nadanego kierunku, wszystko, co zdarzało się potem, było akcydentalne. Cele wyznaczały różne doraźne zadania, w istocie zmierzające w tę samą stronę – bo wciąż pisałem.

Z czasem okazało się, że jestem pewniejszy napisanego niż wymówionego słowa. Gdy zacząłem prowadzić wykłady, musiałem je pisać. Musiały to być *res facta*, „rzeczy gotowe”, bo inaczej zginąłbym nawet przed niewielkim audytorium. W tej chwili również czytam, a nie mówię. Próbując nakreślić tę wypowiedź, zacząłem od tytułu. Jeśli mnie pamięć nie myli, zaczynałem tak zawsze. Nie do końca jeszcze jasny temat zjawia mi się najpierw nagle jako tytuł. Nazwałem ten tekst „lekcją pisania”. Bo stwierdziłem, że nie mogę ująć przed przypomnieniem, jakie były początki mojej nauki. Nie mogę nie dokonać teraz choćby drobnej spłaty wielkiego długu, który od dawna zaprzęta moje myśli.

Rzecz zaczęła się tuż po zakończeniu wojny, chyba pod koniec lutego 1945 roku, gdy – mając jeszcze dwanaście lat – zostałem przyjęty do gimnazjum w Chrzanowie. Jest to prowincjonalne miasto, leżące w połowie drogi między Krakowem a Katowicami. W dwudziestoleciu powstała tu znana inwestycja, fabryka lokomotyw «Fablok», gdzie od roku 1935 pracował mój ojciec przenosząc się z Warszawy. Chrzanów, jak się dowiedziałem później, był wielkim ośrodkiem chasydzkim. Już na początku okupacji został włączony do Rzeszy. Z trzynastu tysięcy mieszkańców jedenaście stanowili

Żydzi, którzy zostali jednego dnia wyprowadzeni do odległego o dziesięć kilometrów Oświęcimia, i miasto stało się pustynią, powoli zasiedlaną przez Niemców. Fabryka

funkcjonowała dalej. Jej pracowników nie ruszano, choć usunięto do najbiedniejszej wyludnionej dzielnicy i skazano na niewolniczą vegetację. Oczywiście nie było żadnej szkoły. Jakieś lekcje dawała mi potajemnie znajoma rodziców. Niewiele z tego pamiętam. Prawie wszystko zatarł strach przed bombardowaniem tego rejonu w ostatnich miesiącach wojny. Od jesieni 1944 roku zaczęły się codzienne naloty amerykańskie. W miarę zbliżania się frontu doszły do tego naloty radzieckie w nocy. Żyliśmy w piwnicach. Tam, przy świecy, po raz pierwszy przeczytałem *Odyseję*. Szukałem, pewno nieświadomie, dodatkowego schronu.

Kiedy się to skończyło, zaczęto otwierać szkoły. Miasto jakimś cudem prawie nie zostało zniszczone. Rodzice wrócili do przedwojennego mieszkania. Szybko odremontowano piękny budynek gimnazjum, gdzie do niedawna był szpital wojskowy. My, przyszli uczniowie, pomagaliśmy w sprzątanii. Następnie odbywały się egzaminy i kwalifikowanie kandydatów do odpowiednich klas. Zdawałem do pierwszej. Roczники były bardzo zróżnicowane i panował tu pewien zamęt. Ale cały kurs roczny został jakoś zmieszczony w czterech miesiącach. W końcu czerwca, w trzynaste urodziny, zakończyłem ten etap prawdziwej nauki.

Oglądana z dalekiej perspektywy chrzanowska szkoła średnia musiała już przed wojną, a pewno i wcześniej, cieszyć się wysokim poziomem. W jakiejś mierze żywa tam była tradycja „c.k.” gimnazjum klasycznego. Jeden z najstarszych profesorów, historyk, powtarzał często, że nigdy nie wrócą dobre czasy Franciszka Józefa. Nauczyciel łaciny, z którym już w następnym roku czytaliśmy *De bello Cezara* i *Eneidę*, bolał nad sobą i nami, że nie uczy greki, czasem, dla zachęty i ku złagodzeniu własnej nostalgii, recytując coś z Homera. Polonistka z kolei, która prowadziła nienagannie kurs całej historii literatury, pozwalała też sobie na rozbudowane wykłady o twórczości pisarzy współczesnych. Mówiła o Skamandrytach i futurystach. Czytała wiersze Przybosa, Ważyka, Lechonia, Leśmiana, Czechowicza, poetycką prozę Wata, *Słopiewnie* Tuwima, *Wieczór u Abdona*, i inne niełatwe teksty. Potem, już w liceum w Warszawie, stwierdziłem, że był to bardzo ambitny program. W istocie program dla dorosłych. I tak nas tam traktowano.

Zdaję sobie teraz sprawę, że owa niezwykła polonistka, profesor Helena Augustyńska, była osobą nieodgadnioną. Nie wiadomo jakim sposobem tak głęboko potrafiła sięgać w psychikę swoich uczniów. Nikt z nas nie mógł powiedzieć, że go obserwowała. Poważna, pozbawiona surowości, ale budząca respekt. Nie pamiętam żeby się uśmiechała. Zawsze tylko zajęta tym, co mówiła sama, lub co mówiono do niej. Nigdy nie podnosiła głosu. Nie musiała

też nikomu zwracać uwagi, bo już jej obecność miała coś hipnotycznego. Zresztą jej lekcje były tak zajmujące, że słuchaliśmy jak zakłęci. Była w wieku naszych rodziców. Szczupła, o pięknej twarzy. Zawsze świetnie ubrana. Zawsze spokojna. Wspaniale czytała poezję. Bez cienia aktorstwa, nawet bez emocji, ale z wielkim intelektualnym napięciem, które nawet w naszym wieku mogliśmy dostrzec i docenić. Było to jak ciche otwieranie drzwi, za którymi ukazywał się widok nieodparty. Umiała to celnie komentować, rozplątując jakby węzły tkaniny, żeby zrozumiała stała się logika wzoru czy zamysłu. Ona mnie nauczyła czytania Norwida zarówno, jak Przybosa. Mówiąc teraz o tym, dziwię się, że w szkole nie wybuchła jakaś poetycka epidemia, że nie pamiętam, by ktoś próbował pisać wiersze. Jakieś wytłumaczenie dostrzegam w tym, że pokazywano nam zawsze najwyższe wzory, i nikomu nie przychodziło do głowy sięganie aż tam. Ale była to wielka lekcja pisania.

Poza tym, pani Augustyńska potrafiła zamieniać swoje godziny w rodzaj intryg konkursowych. Kiedy sprawdzała czy zadanie zostało odrobione, pytała przeważnie o szczegóły, z dziwną przenikliwością dostosowując pytanie, na przykład, do typu wyobraźni lub pamięci ucznia. Pamiętam własne osłupienie, kiedy na lekcji poświęconej *Nad Niemnem* (nie mogła wiedzieć, że parę razy czytałem tę powieść), zapytała mnie o scenę, do której zawsze wracałem z przejściem: „W jakiej sukni była Justyna z Janem na Mogile?” Ja nie wiedziałem, ale *widziałem*, że suknia była z białej gazy czy tiulu. Wydało mi się, że nauczycielka zna moje myśli. A koledzy zwracali się z podobnych wrażeń. Umiała też dać przykład niezwykłego pedagogicznego gestu. Moim kolegą, z którym dzieliłem dwuosobowy stolik (bo naszą salę tak urządzono, bez ławek), był bardzo inteligentny chłopak, który dojeżdżał z sąsiedniej wsi. Kiedyś został wywołany, żeby przeczytał wypracowanie z zadanej lektury. Wstał i przeczytał bardzo dobry wnikliwy tekst. Pani Augustyńska poprosiła go do swojego stołu, chcąc postawić mu stopień. Zrobił się czerwony i podszedł z miną skazańca. Zeszyt był pusty. Pani nie powiedziała słowa, tylko napisała: „celująco”. Nie poczuła się oszukana. Po prostu stwierdziła, że zadanie rzetelnie odrobił, a mógł nie mieć czasu na pisanie, bo może musiał pomóc w gospodarstwie. Znała warunki, w jakich żyli i pracowali jej wychowankowie, choć nie pytała nas nigdy o przyziemne sprawy. Zrozumieliśmy, że było w tym geście zawarte też uznanie dla talentu ucznia. Przypadek pustego zeszytu długo dyskutowano w klasie z podziwem. Pani na pewno wiedziała, że tak będzie, i że to nam się może kiedyś przyda, jeśli będziemy uczyli sami.

Była żoną dyrektora szkoły. To też chyba ułatwiało pewne inicjatywy, które podejmowała razem ze wspomnianym łacinnikiem, nie tylko wielbiącym grekę, ale i teatr. Już na początku

drugiego roku działania gimnazjum zaczęły się regularne wyjazdy ciężarówkami do teatrów w Krakowie i Katowicach (do obu miast było około trzydziestu kilometrów). Jeździliśmy na wieczorne spektakle, które potem były omawiane na lekcjach polskiego lub łaciny. Ów drugi nauczyciel, profesor Urbańczyk, uczył nas sztuki scenicznej i w ten też sposób, że organizował konkursy recytatorskie dla uczniów i czasami reżyserował sam szkolne przedstawienia. Jedną z próbek jego szaleństwa w doborze repertuaru zapamiętałem na zawsze, bo wziął na warsztat wybrane sceny z *Legionu* Wyspiańskiego (sztuki raczej ostrożnie omijanej przez fachowców), obsadzając mnie – czternastolatka – w roli Mickiewicza. Poza tremą nie pamiętam skutków tego przedsięwzięcia, ale przez wiele lat odtwarzał się w mojej wyobraźni monolog z audyencji u papieża. W dramaturgię *Wesela*, *Nocy listopadowej* i *Warszawianki*, wprowadzony zostałem najtrudniejszym wejściem. Jako pedagogiczny zabieg było to śmiałe, ale i bardzo skuteczne, myślę dzisiaj.

Pan Urbańczyk, jako główny promotor tej teatromanii, nadaktywny, bo z pewnością sam też zaspokajający swój głód sceny po wojennym poście, bardzo starannie śledził to, co działo się w najbliższych teatrach, tak że oglądaliśmy spektakle najznakomitsze. W katowickim teatrze im. Wyspiańskiego widzieliśmy kreacje Bronisława Dąbrowskiego, które przeszły do historii, jak *Sen nocy letniej* i Szaniawskiego *Dwa teatry*, a potem w Krakowie – gdzie Dąbrowski objął Teatr Słowackiego – *Wieczór Trzech Króli*. A jeszcze byliśmy tam na *Otellu*, po którym do dziś mam w oczach dekoracje Frycza, na *Candidzie* Shawa z Zofią Jaroszewską, i dane nam było zobaczyć Solskiego w pełni aktorskich sił, grającego tytułową rolę w *Judaszu z Kariothu* Rostworowskiego.

Osobowość pana Urbańczyka była niemal przeciwieństwem tego, co wносиła sobą do naszej edukacji pani Augustyńska. Ale tych dwoje uzupełniało się, tworząc w istocie obraz tego, czym być może nauczyciel wszechstronny. Bo on wnosił ze sobą nerwowość i zapalczywość, przy podobnej rozległości horyzontów, którą zarażał otoczenie. Był niekiedy złośliwy, choć ten sarkazm pobudzał nas często do wzajemnej konkurencji, wprowadzając w coś z rodzaju antycznego *agonu*. Tak można by sobie wyobrazić Arystofanesa. Wychowawcę bezlitosnego. Lecz prawdziwy Arystofanes objawia się w liryce, w chórach. I nasz nauczyciel wołał poezję od prozy. Zamięczał nas metrami Horacego i kazał nam z pamięci mówić wersy *Eneidy*. Początek księgi drugiej jeszcze błąka mi się po głowie: obraz odchodzącej wilgotnej nocy i gasnących gwiazd, kiedy Eneasze z bólem i wahaniem zaczyna opowieść o budowie konia trojańskiego *divina Palladis arte*.

Więcej już może dodawać nie trzeba. Przeszedłem dobrą szkołę na początku. To, czego z tej nauki nie umiałem wykorzystać jest tylko moją słabością lub winą. Wiem jednak, że wspomniane tu osoby dawały z siebie wszystko, a wielu wielkich nauczycieli, spotkanych potem – by wymienić tylko Tadeusza Dobrzeńskiego, Juliusza Starzyńskiego, Władysława Tatarkiewicza – rozszerzało to pole widzenia, które w zasadzie już było w pierwszej młodości wskazane i otwarte przez tamtych pierwszych mistrzów.

W chrzanowskim gimnazjum uczyłem się niecałe cztery lata. W czerwcu 1948 roku zdałem tam małą maturę. Jesienią, kiedy rodzice zdecydowali się na powrót do Warszawy, przeżyłem bolesne wykorzenienie.